ROCZNIKI FILOZOFICZNE
Tom XXXII, zeszyt 2 - 1984

ADAM RODZIŃSKI

CHWAŁA I EUDAJMONIA

Czy szczęście jest istotnym celem życia moralnego? Odpowiedź na to pytanie zależeć będzie nie tylko od tego, jak zamierzamy rozumieć "szczęście" /jakież to bowiem szczęście - a jednak! - złamać sobie nogę przed samym wejściem do szpitala?/ - ale musi się ona wiązać z natury rzeczy z jakąś naszą wizją czy koncepcją moralności, a to już a limine przesądzać się zdaje o pozytywnej czy negatywnej odpowiedzi.

Darujmy sobie historycznofilozoficzną stronę zagadnienia. Choć jej doniosłość dla tematu nie może ulegać wątpliwości, wystarczy tutaj wspomnieć, że już starożytni Grecy wiedzieli na ogół dobrze, czym jest eudajmonia, a więc szczęście pojęte nie jako los czy traf szczęśliwy, ale raczej "dobre mienie się" ludzkiego bytu; /o tym, że nie mieszka ona ani w trzodach i pastwiskach, ani w złocie, nauczał już Demokryt/.

Wszyscy na ogół - wyjąwszy przypadki autoagresyjnej patologii - pragniemy się jakoś "dobrze mieć", sąd nasz zaś o tym, czy dobrze się mamy, zależy w znacznym stopniu nie tylko od tego, co sądzą o tym inni ludzie, choćby mądrzejsi od nas i bardziej doświadczeni, ale i od tego /a może nawet od tego przede wszystkim/, jak sami oceniamy i przeżywamy nasze osiągnięcia i porażki, naszą przeszłość i przyszłość, nasze życie i nasze ustawiczne w nim przecież "umieranie": stopniowe zwijanie się bogatego - początkowo zwłaszcza - wachlarza szans życiowych tak, że poza bólem śmierci nie pozostaje niekiedy już nic do zabrania.

Człowiek myślący o swym życiu z jakim takim poczuciem, że nie tylko przed sobą samym za nie odpowiada, przegląda się też od czasu do czasu w zwierciadle swoich czynów; chodzi mu przy tym o prawdę obiektywną, nie tylko o pozory. Nierzadko - co prawda - ulega iluzjom: boleśnie może odczuwać po wielu nieraz latach, że - dajmy

na to - przez nieuwagę poważnie kogoś zranił rzuciwszy w niego kamieniem zamiast gałką śniegu, wspominając zaś sobie inne wydarzenie, w którym usiłował kogoś ciężko poszkodować, co się jednak nie stało przez przypadek, może łatwo poprzestać na złożeniu sobie gratulacji. Tak już jest, że ściśle moralny "punkt widzenia" gubi się niekiedy pośród innych "punktów". Dlatego warto go możliwie dokładnie umiejscowić.

Życie ludzkie - w tym, przez co jego jakość ogólna kwalifikuje się do oceny niskiej czy wysokiej, przez co też i faktycznie oceniane bywa jako mniej czy bardziej udane lub nieudane, "pełne" czy "niepełne", godne pamięci czy tylko zapomnienia - zależy od czynników różnorodnych, przybierających niekiedy maskę "uśmiechów" czy "kaprysów" losu, pod którą jednakowoż nietrudno dostrzec oblicze jakiejś powszechnej, choćby tylko "statystycznej" konieczności, na kanwie której wszakże Bóg stanowi o konkretnych jednostkach ludzkich w sposób wolny, podobnie jak i każdy człowiek sam o sobie. Tak więc również człowiek - choć tylko do pewnego stopnia i między innymi - decyduje o swej własnej, osobistej "eudajmonii"; ta jednak jest - sama w sobie - wartością ewidentnie zbiorczą: trudno ją sobie przecież wyobrazić jako przez kogoś osiągnięty stan w momencie, gdy temu komuś coś tam jednak dokucza intensywnie, np. palec, choćby chodziło w danym wypadku o mały palec i u lewej nogi. Skoro uwaga ta nie jest bez znaczenia i wówczas, gdy myślimy o naszej szczęśliwości wiecznej, "ostatecznych celów" człowieka jest w gruncie rzeczy nieprzebrana ilość: poza uszczęśliwiającym człowieka, w sposób z gruntu nadprzyrodzony, bezpośrednim widzeniem /"oglądaniem"/ Boga w całkowitym zjednoczeniu z Nim, celów naszych wiekuistych jest co najmniej tyle, ile wyliczyć można słusznych i niezbywalnie ludzkich pragnień i oczekiwań.

Mądrościowa refleksja od wieków podsuwa myśl, że wśród tego wszystkiego, co w życiu ludzkim jest i winno pozostać nieinstrumentalne - i o co chodzić nam winno koniec końców - funkcjonować powinien taki typ wartości, który przewyższa wszelkie inne ich typy, i to tak niewspółmiernie, że potraktować go wolno i należy wręcz jako symbol i zwornik aksjologiczny tego wielowymiarowego stanu, ku jakiemu pielgrzymuje człowiek. Dla wierzących w Chrystusa to oczywiście wspomniany już stan ekstatycznego par excellence uczestniczenia w życiu interpersonalnym Trójcy Świętej; zachodzi jednak pytanie: na

podstawie jakiej słusznej racji wierzący doskonale wiedzą, że Chrystus nigdy by nie zaakceptował obdarzenia w Nim szczęśliwością wieczną jakiegoś np. niemowlęcia - zaraz po jego ochrzczeniu - w sytuacji, w której wszystko na to wskazuje, że stać się ono może w przyszłości raczej "dzieckiem diabła" niż kimś dysponowanym do dostąpienia Bożej obietnicy? Chodzi tu o pewien typ rozumowania aksjologicznego, odbiegający od eudajmonalnych względów dość wyraźnie, a jednak jak najściślej związany z pojęciem człowieczeństwa, z tym, co uważane jest powszechnie za ludzkie i nieludzkie w odnoszeniu się ludzi nawzajem do siebie. Chodzi - krótko mówiąc - o to, że gdziekolwiek pojawia się "ktoś", tam również pojawia się coś, co nie bez głębokiej racji określamy jako jego uprawnienia naturalne /i to takie, których nb. sam ich posiadacz zrzec się nie jest w prawie/.

Jaka jest generalna podstawa tych naturalnych uprawnień każdej bez wyjątku jednostki ludzkiej i wywodzących się z owych uprawnień obowiązków? Czy chodzi tu tylko o naturę człowieka czy może raczej o tego człowieka jako o kogoś, kto tę właśnie naturę "ma", kto jest nie tylko konkretnym "egzemplarzem" gatunkowo pojętego człowieczeństwa, lecz równocześnie wartością, osobą? Może więc przechodząc od tej refleksji na szeroką płaszczyznę czynów i postaw osobowościowych - moralnie /a nie w inny jakiś sposób/ dopuszczalnych czy niedopuszczalnych - dałoby się odnaleźć w nich samych coś takiego, co w ostatecznym rozrachunku decyduje o niekoniecznie eudajmonalnej, ale zawsze autentycznie i ściśle moralnej sensowności i cenności tychże, niewrażliwej na zmienność emocjonalną i na upływ czasu?

Moim zdaniem, i nie tylko moim, jako że sporo jest różnych studiów na ten temat, wiele wskazuje na to z głębi dramatycznych niejednokrotnie "doświadczeń moralności", że wartość taka istnieje i działa rzeczywiście, że ma swoją całkiem swoistą wymowę, swój własny język chwytany przez "anteny myślowe" bardzo skądinąd różniących się od siebie ludzi, że zarówno wierzący, jak i niewierzący rozumieją ten język na ogół poprawnie, choć nie bez pewnych czasem "informatycznych" szumów i zakłóceń. Człowiek, któremu kazano zabić kogoś niesłusznie, a który sam woli raczej zginąć, może uracjonalniać swoje stanowisko rachubami na remunerację pozadoczesną mającą sens eudajmonalny; może jednak kierować się w tym przypadku /wyłącznie czy przede wszystkim/ względem na samą osobę: zarówno własną - i to dostrzeganą nie w przyszłości, ale hic et nunc - jak również

względem na to, że takim samym "kimś" jak on /z takim samym prawem do życia jak on/ jest ów człowiek, któremu jeśli życia nie odbierze, utraci swoje własne. Ten godnościowy typ rozumowania pozbawiony jest - jak widzimy - egocentryzmu tak charakterystycznego dla różnych eudajmonalnych obliczeń i wyrachowań. Nie przecząc więc racjonalności i zasadności tych ostatnich wolno - a chyba i należy - pozostawić je felicytologii czy eudajmonalnie zabarwionej perfekcjonistyce, a etykę sensu stricto zdefiniować opierając się na dygnitatywnej i personalistycznej normie moralności, ukazującej chwalebne czyny i postawy jako legitymujące się całkiem specyficzną sensownością własną.

Wielu autorów już o tym pisało, darujmy tu sobie dociekanie, kto z nich pierwszy; w tej chwili interesuje nas bowiem sama odpowiedź na pytanie, jaka to "struktura" najgłębsza odzywa się w człowieku w tego rodzaju sytuacji, zabiera w nim niejako "głos" - raczej zresztą samorzutnie niż w sposób wyrozumowany - i daje znać o sobie?

Jan Paweł II - jeszcze jako Karol Kardynał Wojtyła - zwykł był nazywać strukturę tę "komunią", mając na myśli wspólnotę ukonstytuowaną na zasadzie "normy personalistycznej" mówiącej o nieinstrumentalnej, naczelnej wartości osób jako osób. Chodzi tu w szczególności o ludzkie osoby dostrzegane w tej perspektywie, w której wybija się na plan pierwszy sakralna ich "nietykalność", ich wspólny również tytuł do stanowienia o sobie zwłaszcza w odniesieniu do tej ekscelentywnej unii międzyosobowej, jaką jest sam Bóg. Przede wszystkim - bo jest to sprawa samych podstaw tej nadprzyrodzonej nadbudowy - chodzi tu jednak, jak sądzę, o ściśle filozoficzną perspektywę: tę mianowicie, w której na pierwszy plan wybija się nieakcydentalność ściśle personologiczna, a w ślad za tym uniwersalna, ściśle moralna miaradojność tych relacji, które mają konstytutywny walor dla podmiotowej swoistości i osobności osoby jako osoby, a są nimi nienadprzyrodzone[1] - związane z "byciem po prostu osobą" czy "osobą stworzoną w ogóle" - odniesienia nasze do Osób Absolutu. W "komunii" osób pryncypiami jej struktury aksjologicznej są osoby jako podmioty, których swoistość /nie należy posługiwać się w tym znaczeniu terminem "natura osoby", bo to jest dezorientujące/ podyktowana jest odniesieniem do innych osób, tych, bez których swoistości własnej jest ona po prostu nie do pomyślenia; /tak jest - jak nas uczy wiara chrześci-

jańska - na wyżynach samego Absolutu, podobnie być więc musi - mutatis mutandis i aliquo modo - w kręgu osób stworzonych.

"Nie przyjmuję pochwały od ludzi. Toć wiem o was, że nie macie w sobie miłości do Boga" - powiedział Chrystus do faryzeuszów dodając znamienne słowa: "Jakże możecie dojść do wiary wy, którzy pragniecie chwały jeden od drugiego, a nie szukacie chwały, która pochodzi od samego Boga?" /J 5, 41-44/. Jak z tego widać, ma się realizować taka sui generis "chwała Boża" już w tym doczesnym życiu, do której zdążanie warunkuje wiarę, logicznie ją poprzedza. W pewnym jakby oparciu o tę właśnie chwałę zdąża człowiek ku Bogu, aby - nie bez Jego zachęty i pomocy - spotkać Go tam, gdzie zwykły czekać na ludzi od wieków przygotowane, szczególnie obfite i skuteczne źródła Jego łaski[2].

Człowiek jest religijny nie tylko z natury, ale zwłaszcza jako osoba, jako "ktoś ku Komuś" zaadresowany, podmiot, którego samo ściśle osobowe "bycie kimś" ukonstytuowane zostało przez powołujące go do komunijnej wspólnoty z sobą Osoby Absolutu. Jest więc człowiek "osobą w obliczu Osób" i jako takie właśnie - abstrahując od wszelkich innych aksjologicznych względów i okoliczności - stanowi całkiem swoistą, trwałą, powszechną i niezbywalną wartość. Stąd też i wszelka wierność okazywana tej wartości ma charakter przynajmniej implicite religijny.

Jakież to czyny ludzkie i postawy obdarzają swych sprawców szczególniejszym tytułem do chwały w obliczu jakichkolwiek osób jako osób? Z odróżnienia podmiotowości właściwej naturze istniejącej jako "ta oto" substancja od podmiotowości ściśle osobowej wynika, że tego rodzaju dążenie ku Bogu, szukanie chwały, której On jest źródłem, przebiegać może w dwu różnych, choć zawsze nierozdzielnie z sobą występujących i uzupełniających się wzajemnie wymiarach metafizykalnych: 1. awansowania na szczeblach analogiczności doskonałościowej boskości i człowieczeństwa jako natur podobnych /chociaż i zasadniczo z sobą niewspółmiernych/ oraz 2. wzajemnego "wychodzenia naprzeciw", spotkania, udzielania się i przyjmowania, wsppółobecności mniej lub więcej bliskiej, owocnej i "wymownej" /w sensie bardziej czy mniej zaawansowanego porozumienia i porozumiewania się osób jako osób/.

Doskonaląc się wewnętrznie, rozwijając duchowe nasze władze, aktualizując liczne kryjące się w nas potencjalności twórcze - jednym słowem pracując nad sobą - przybliżamy się niewątpliwie do Boga w tym znaczeniu, że umacnia się w nas i wybija na pierwszy plan to,

co naturę naszą ludzką i cały jej status substancjalny upodabnia do Bożego "esse". Wszystko to podlega jednak normowaniu nie tylko zgodnie z tym, kim jest Bóg jako panująca nad życiem i śmiercią wszechdoskonałość inteligentna ekscelentywnie, potężna i stwórcza, ale ponadto /i tu właśnie dopiero dotykamy formalnego przedmiotu etyki/ zgodnie z tym, co można by nazwać godnością i swoistością Boskich Osób przeświecającą - choćby "in confuso" - poprzez integralną afirmację każdej osoby w jej podmiotowości własnej ekskluzywnie, niezawłaszczalnej /niealienatywnej/.

Osoba jest zarówno źródłem, jak i celem komunijnego miłowania. Stwierdzenie to wyraźnie się różni od stwierdzenia ontycznych, fizycznych czy psychicznych jej doskonałości i ma dla obiektywnej interpretacji i oceny jakości naszego życia duchowego walor kapitalny. "Promieniowanie" ojcostwa i synostwa w jednym duchu szczerości i prawdy to /nie tylko tam, gdzie chodzi o sam "wzorczo-stwórczy", więc nienadprzyrodzony porządek ludzkiej egzystencji/ coś innego niż przenikliwość umysłu, inwencyjność i potęga woli czy inne podobne kwalifikacje mogące uczynić jakąś jednostkę ludzką wyjątkowo wspaniałą ilustracją tego, kim jest homo sapiens[3]. Póki tej sprawy chrześcijański etyk czy metafizyk gruntownie sobie nie przemyśli, póty błąka się i słusznie pytać może: cóż to takiego właściwie jest ta "godność ludzka"? Tyle przecież jest różnych, a nawet sprzecznych z sobą mniemań na ten temat!

W życiu moralnym człowieka - tam, gdzie ważą się jego decyzje i definitywne ich uzasadnienia - nie chodzi więc przede wszystkim o osobę rozpatrywaną w jej eudajmonii i naturalnych czy nadprzyrodzonych kwalifikacjach doskonałościowych, ale o samą osobę jako podmiot, który to wszystko "ma" w tym szczególniejszym i całkiem specjalnym znaczeniu, w jakim - choć "ta oto" osoba "tą oto" naturą istnieniowo "jest" - mówimy nie bez racji, że to osoby mają naturę, a nie że "natura ma swoje osoby". "Subsystowanie" /wyrażające relację między naturą a osobą/ okazuje się tu równocześnie "prosystowaniem" osób w stosunku do osób, stanowiącym swoistą wartość.

O ile "ens et bonum convertuntur", o tyle terminowi "wartość" przyporządkować należy treść relacjonalną; po cóż bowiem czynić "wartość" synonimem "dobra" marnując w ten sposób cenny "metraż" terminologiczny stosunkowo świeżej daty, o jaki doprasza się pojęcie inne: jakiegoś rzeczywistego odpowiadania komuś /fundamentalnie czy incydentalnie, definitywnie czy przelotnie - to już dalsza sprawa/? Na tej właśnie podstawie osoba - jako podmiot "zaadresowany ad

alterum" - sama w sobie wartością po prostu jest, i to wartością pierwszą, naczelną, "wyjściową" dla całego świata aksjologicznego, nadającą temu światu sens najgłębszy, bo adpersonalny.

Filozofia moralna - jako filozofia - nie może się nie zajmować naturą, zwłaszcza naturą człowieka; niemniej /jeśli chce być filozofią wartości moralnej, a w dalszej konsekwencji filozofią kultury moralnej czy raczej centralnym nurtem takiej filozofii/ za formalną rację swojej treści przyjąć winna tę właśnie wartość wtórną i takąż antywartość, jakie polegają na stosunku odpowiadania lub nieodpowiadania tego, co czynimy, temu, kim każdy z nas jest jako osoba, a więc jako całkiem swoista i naczelna /co do typu/ wartość. Wartościowanie moralne w takim personalistycznie uściślonym rozumieniu polega więc na odnoszeniu - implicite czy explicite - poszczególnych aktów autodeterminacji /rozpatrywanych również w ich habitualnej permanencji/ do osoby jako do wartości pierwszej, której nie wszystko w tej materii - konkretnie czy typologicznie - odpowiada i odpowiadać może. Pewne takie akty zasługują na chwałę, inne na naganę z punktu widzenia osób jako osób w ogóle, jako osób stworzonych czy wreszcie ludzkich w szczególności - aż po "te oto" osoby ludzkie w takich to a takich usytuowane warunkach i okolicznościach.

Jak widać, funkcjonuje w wartościowaniu tym jako pryncypium /kryterium naczelne/ wartość samej osoby jako osoby - tzn. jako podmiotu ujętego /poznawczo/ w jego adalterytatywnej, hipostatycznej osobności - innymi słowy uświadomiona - choćby implikatywnie - godność osobowa. Jej to głos jest autentycznym głosem naszego sumienia, które czuwa w nas nad tym, abyśmy - urzeczywistniając w naszej wewnętrznej i zewnętrznej aktywności cele i wartości różnorodne - postępowali w sposób z tego właśnie, a nie jakiegoś innego punktu widzenia nienaganny. Kryje się w tym równocześnie racja doświadczania specyficzności tego, co moralne, doświadczania więc samej również moralności jako całkiem swoistego wymiaru kultury.

Co najmniej od czasów Arystotelesa - poprzez średniowieczną myśl scholastyczną - w działaniu formalnie ludzkim, tzn. angażującym naturę naszą jako całość, więc przede wszystkim w orbicie życia duchowego - rozróżniamy skutki tegoż działania przechodnie i nieprzechodnie. Mówimy więc o działaniu rozpatrywanym jako wytwarzanie /czegoś zewnętrznego/ i odróżniamy je od działania - czasem tego

samego działania - rozumianego jako postępowanie, przez które człowiek tworząc niejako sam siebie "od środka" doskonali lub uniedoskonala w pewien sposób swój "profil" osobowościowy; postępować można bowiem - co nie znaczy, że wolno - /podobnie zresztą jak wytwarzać/ źle. Filozofia chrześcijańska, w szczególności zaś etyka wychowawcza kładzie tu zrozumiały nacisk na wartości transtemporalne, których realizacja kieruje człowieka w głąb samego siebie na spotkanie z obecnością Bożą. Choć wszystkie zapisuje się w nas pozytywnie - nie są one przecież antywartościami - różna jest ich istota i geneza. W ślad więc za rozróżnieniem wytwarzania i postępowania wypada w samym postępowaniu odróżnić to, co ma charakter autoteliczny, co ma więc własną aksjologiczną rację bytu jako przynależne do sfery przeżywania doznań kulminujących w stanie szczęśliwości czy uszczęśliwienia, "czucia się dobrze", i to pod każdym względem - od tego, co się zaleca surowym, lecz wzniosłym pięknem uczciwości i szlachetności moralnej, czym żyć może intensywnie człowiek, niekoniecznie to coś równie intensywnie przeżywając. I tak np. W. Tatarkiewicz, przemyślawszy dość dobrze względność szczęścia i bezwzględność dobra moralnego, pisał o jednym i o drugim, ale nawet na myśl mu nie przyszło, aby mieszać z sobą jedno i drugie wbrew swoistości obu tych - jakże różnych - obszarów aksjologii. Chodzi tu bez wątpienia o różny wymiar osobowościowy i o różnego typu - realizującą się czy stojącą za tym wszystkim "dojrzałość".

Czeka nas atoli jeszcze jedno ważne rozróżnienie. Na obszarze życia moralnego inną funkcję aksjologiczną pełni to, co służy tylko moralności - jak bystry umysł albo silna i sprężysta wola - a co równie łatwo niestety, z rezultatem równie poważnym, choć odwrotnym, służyć może i temu, co jest z całą pewnością moralnie antywartościowe. I tak np. bezkolizyjność życia zbiorowego nie ma sama w sobie żadnej powinnościowej bezwarunkowości, różne bowiem bywają zbiorowości ludzkie czy ugrupowania, trafiają się i takie, które im bardziej są jednomyślne, tym więcej popełniają zbrodni. Względy socjotechniczne nie są dla moralności obojętne, nie są to jednak względy moralne, przynajmniej sensu stricto. Podobnie rzecz się ma z biotechniczną czy psychotechniczną perfekcjonistyką, która etyków nie może nie interesować, ale sama w sobie stanowi inną, osobną sferę wartościowania i kultury. Wartość moralna, jeśli jest naprawdę moralnym osiągnięciem, a nie jakimś innym, nie może ot tak sobie odpaść od człowieka nieszczęśliwym trafem, w momencie np. kolizji je-

go głowy z oblodzoną drogą, po którym to wypadku może on stać się kimś pozbawionym hamulców psychicznych czy nawet wszelkiej konsekwencji w myśleniu i postępowaniu, nie może jednak stać się kimś, kto - będąc przy zdrowych zmysłach - nie uczynił tego, co uczynił.

Tak więc trzeba sobie w końcu powiedzieć jasno i otwarcie, że "etyka" utożsamiona z ogólną teorią postępowania ma - być może - za sobą jakąś epistemologiczną rację bytu, podobnie jak jeszcze ogólniejsza "teoria działania skutecznego", ale nie jest to filozofia wartości moralnej; jeśli zaś występuje w tej roli, chybiona jest metodologicznie, ujmuje bowiem swój przedmiot w sposób stanowczo za szeroki, wymagający pilnie dalszego doprecyzowania. Dotyczy to również naszego "postępowania w kierunku eudajmonii", o czym już była i będzie jeszcze mowa.

Sensowność tego, jak zachowuje się człowiek, jest tak rozmaita, jak różne w tym przyświecają mu wartości; wartości oczywiście w ich stanie ideacjonalnym, jako że wartość dopiero wtedy jest wartością faktyczną, gdy się kiedyś i gdzieś urzeczywistni w kimś czy wobec kogoś. Wartości są różne co do typu, bo różnie coś komuś może odpowiadać, podobnie zresztą rzecz się ma z antywartościami. Często też bywa tak, że nam nie odpowiada osobiście - czy osobowościowo - coś ze względów całkiem zrozumiałych, podczas gdy pod jakimś jednym, specjalnym czy specyficznym względem odpowiada nam, i to jak najbardziej. Szczególnie groźnym nieporozumieniem wydaje się przy tym związanie wszelkiej wartości, a więc najogólniejszego jej pojęcia, z jakimś brakiem rodzącym konkretne na coś zapotrzebowanie. Człowiek człowieka może oczywiście potrzebować z różnych względów, choćby do własnej - szlachetnie rozumianej - eudajmonii; dopóki jednak tak tylko - egzystencjalnie i egocentrycznie - "wzywamy" się czuje przez wartość, nie doszedł on jeszcze do samego centrum tego osobliwego świata relacji aksjologicznych /różnych typów odpowiadania lub nieodpowiadania czegoś czy kogoś komuś, czy również czemuś, ale zawsze ostatecznie ze względu na kogoś/. Centrum tym jest właśnie osoba.

Każdy człowiek jest konkretną naturą w kręgu różnych natur i "tym oto" podmiotem osobowym w kręgu osób, co jednak bynajmniej nie znaczy, że "dzieli się" na naturę i osobę. Zarówno pod jednym, jak i pod drugim względem jest on ogniskiem samookreślenia się w działaniu, w różny jednak sposób. To właśnie jako osoba mogę nie tylko symbolicznie, ale w pewnym sensie osobiście i prawdziwie być

"obecny" w osobach innych - na ile mnie one akceptują - albo "nieobecny", jeśli zachodzi między nami jakiś stan "radykalnego odrzucenia". Oczywiście aliquo modo uobecniam się w nich również jako substancja, skoro osoba istnieje tak właśnie, nie inaczej, ale ta substancjalność moja pojawia się w takim ujęciu jakby na dalszym planie. Jako osoba człowiek jest obecny po swej śmierci nie tylko w "zaświatach" jako dusza, lecz poniekąd również na tym świecie: jako "czyjś" proch i krzyż; proch, w który obraca się ciało, i krzyż - nie zawsze ów zbawienny, ale zawsze symbol bólu i traconych - przynajmniej doczesnościowo - szans. Osoba jest na tej zasadzie ogniskiem odniesień adpersonalnych o szczególnej wielostronności. Jest też ona podmiotem jednostkowym o szczególnej głębi. Komediowy okrzyk zakochanego: "szaleję za tobą i za każdą taką jak ty!"[4] do głębi tej nie dociera w każdym razie.

Dzieje obecności człowieka na ziemi to przede wszystkim dzieje jego kultury wewnętrznej, owe zaś dzieje z kolei są przede wszystkim historią stopniowego uświadamiania sobie przez ród ludzki tej właśnie niezamiennej, a zarazem bezcennej wartości, którą - jako "ta oto" osoba - jest człowiek.

Człowieka każdego brać pod uwagę można i należy również jako "po prostu osobę" czy "osobę w ogóle" - i ten wzgląd jest dla wartościowania moralnego szczególnie istotny. On to bowiem ukazuje nas jako podmioty najbardziej podstawowo równouprawnione, mające identyczny udział w uprawnieniach naturalnych, a w ślad za tym i w kręgu fundamentalnej moralności. To, co stanowi przedmiot i treść reguł postępowania moralnego, wywodzi się bowiem nie tylko z rodzaju sytuacji, w jakiej działający i przedmiot jego działania znajdują się w danym razie, lecz przede wszystkim - z ludzkiej natury, jaka zresztą stanowi tu również pewną jakby "okoliczność", z tym że stałą, a wobec tego miarodajną nieuchronnie. To natomiast, co sprawia, że reguły te są regułami autentycznie moralnymi, że w całkiem swoisty sposób nas obowiązują, opiera się w ostatecznym rozrachunku nie na jakiejś czysto opisowej konstatacji "naturalnego" statusu człowieka, lecz na dostrzeganej - choćby implicite czy "in confuso" - wartości, która dlatego właśnie, że nie jest abstrakcją, lecz faktem, spontanicznie sama daje znać o sobie na konkretnym styku wartościowania i normowania moralnego. W ten sposób osoba - przez swoją kondycję "prosystencjalną" /ściśle osobową/ ujawnia się jako aksjologiczny fundament przygotowany "od początku" pod godne czło-

wieka relacje między ludźmi, jak również między człowiekiem a Bogiem.

Cofając się od etyki ku jej ostatecznym uzasadnieniom zawartym w doświadczeniu moralności, a więc uciekając się do interpretacji tego doświadczenia w świetle najbardziej podstawowych sposobów rozumienia rzeczywistości metafizykalnej, odkrywamy - jak się okazuje - metafizykę inną niż metafizyka bytu jako bytu. O ile tę ostatnią można by nazwać ontologią, jeśli "τὸ ὄν" oznaczać ma byt ujęty przede wszystkim w jego "esse", o tyle komplementarna wobec niej i "oboczna" metafizyka osoby zasługiwałaby na osobną nazwę - np. personologii /z tym że trzeba by było równocześnie dać do zrozumienia, iż chodzi tu o personologię chrześcijańską i radykalnie personalistyczną, a nie o jakiś historycznofilozoficzny przegląd sposobów rozumienia terminu "osoba", których to sposobów było i jest wiele/. Byłaby to więc również pewnego rodzaju "filozofia pierwsza" związana równie ściśle z teorią poznania wartości i ich uznawania, jak tradycyjna metafizyka arystotelesowsko-tomistyczna wiąże się z teorią poznania bytu jako bytu.

Wiadomo, że sama metafizyka natur, choćby rozpatrywanych w ramach istniejących de facto substancji, a więc łącznie z aktualizującym je istnieniem, nie może sobie poradzić z logicznym przejściem od opisu do przepisu, tak iż wywodliwość deontologii z ontologii możliwa staje się tylko dzięki jawnemu lub zakamuflowanemu tej ostatniej zaksjologizowaniu. Ukierunkowanie na wartość samej osoby /godność osobową/ i jej afirmację wchodzi wówczas "kuchennymi drzwiami" przemieszane z całą plejadą różnego rodzaju dynamizmów i prefekcjonalnych aspiracji tudzież form, w jakich się one aktualizują. Wszystko to razem tradycyjnie zwie się "moralnością" /boć "mos" to obyczaj/ i rodzi się stąd bałagan.

Osobowa godność ludzka to wartość ludzkiej osoby jako każdej, jest to /co już wyżej zostało podkreślone/ po prostu osoba ludzka jako trwała, wspólna i niezbywalna, a przy tym właśnie moralnie - nie inaczej - miarodajna dla działania wartość. Swoistość tej wartości tłumaczy się tym, przez co każda osoba jako osoba jest osobną, a więc nie wywodzi się ona z tego przede wszystkim, co stanowi o jej podmiotowości substancjalnej, choć nie są tu bynajmniej bez znaczenia jej doskonałości /lub potencjalności/ substancjalne. Dopiero uwzględniwszy osobę jako osobną osobowo możemy pojąć czło-

wieka w całej jego prawdzie, a jest to prawda mająca charakter nie tylko opisowy, lecz także aksjologiczny. Dostrzegamy wówczas człowieka i rozumiemy go daleko lepiej, zwłaszcza jako przyjmującego "dar osoby innej" i jako czyniącego się darem w powszechnej współafirmacji osób. Status osoby ludzkiej odniesionej do innych osób ludzkich przez jej ukonstytuowanie ku Osobom Absolutu czyni ją tu źródłem jej autorsko własnego o sobie stanowienia kierującego się - jako miłość - ku wspólnocie osób /de facto sakralnej i z uwzględnieniem porządku nadprzyrodzonego, zwanej też "komunią"/. Niemniej to stanowienie o sobie - w takiej czy innej formie nieliczenia się z tym porządkiem, jaki wyznacza godność osobowa - kierować się też potrafi ku definitywnemu zanegowaniu statusu aksjologicznego i aksjonomicznego osób jako osób w porządku życia i działania, w postawach więc i czynach. Im częściej tak bywa, tym groźniej zarysowuje się los jednostki i tym bardziej - w skali życia zbiorowego - zaostrza się ambiwalencja kultury i tragizm ludzkich dziejów.

Różnymi drogami dążą ludzie i społeczności ludzkie do wymarzonej eudajmonii, bo i samą tę eudajmonię pojmują nader odmiennie: widzą w niej konto ogólnożyciowe w jego jakimś optymalnym stanie albo pasmo dających optymalną satysfakcję doznań i ewenementów. Obierają szosy wygodne i wyboiste manowce pełne przygód. Karciane domki egocentryzmu budują przy każdym takim szlaku. Zapewne można tu i trzeba mówić o jednej jedynej drodze nie prowadzącej donikąd, a raczej o tym Kimś, kto dostatecznie jasno w ciągu wielu wieków dowiódł ludzkości, że jest jej wspólną Drogą[5]. Niemniej intelekt ludzki ma też swoje naukotwórcze aspiracje, te zaś zaspokajając dąży - również w zakresie wiedzy o człowieku - do coraz pełniejszej syntezy, jaką poprzedzać musi z natury rzeczy coraz precyzyjniejsze i bardziej selektywne "rozróżnienie" tego, co w potocznym języku i myśleniu traktowane bywa "en bloc". Wysiłki te szczególnie wydają się nieodzowne tam, gdzie chodzi o to, co naprawdę w szeroko pojętej "moralności" jest moralne, przez co sumienie sumieniem jest naprawdę, oraz na jakim ostatecznym kryterium opierając się dokonujemy autentycznie moralnych wartościowań, z jakiego wreszcie punktu wyjścia startować winna refleksja etyczna uprawiana w sposób nacechowany pełną moralną odpowiedzialnością za jej praktyczne konsekwencje: z czym ostatecznie ma się godzić to, co się czynić godzi, z jakich źródeł - koniec końców - czyny chwalebne czerpią swoją

chwałę. Artykuł niniejszy jest przypomnieniem i rekapitulacją, a w pewnych punktach również reinterpretacyjnym "wyretuszowaniem" radykalnie personalistycznej na te pytania odpowiedzi.

PRZYPISY

[1] Termin "relacja nienadprzyrodzona" zamiast terminu "relacja naturalna" jest tu na miejscu o tyle, że rozprawiamy w tej chwili generalnie o osobach jako osobach, kwestie właściwych im natur pozostawiając niejako na uboczu.

[2] Dotykamy tu samej istoty życia moralnego. Okazuje się, że nie tylko uczynki moralnie dobre rodzą się z wiary i na gruncie wiary /posiadając dzięki temu walor soteriologiczny/, ale że Bóg darzący ludzi łaską wiary zsyła ją - mówiąc obrazowo - w te nade wszystko "pojemniki", jakie dany człowiek gromadzi na swoim koncie osobowościowym i jakie warunkują owocność tej łaski tak, jak suche i niepłodne drzewo warunkuje owocność wspierającej się na nim i oplatającej je winorośli. Taki zapewne jest sens zarówno tego, co we wspomnianym właśnie fragmencie Ewangelii mówi Chrystus, jak i tego, co na ten temat w "Pasterzu" pisze Hermas, bezsporny autorytet Kościoła rzymskiego w II wieku naszej /chrześcijańskiej oczywiście/ ery.

[3] Cokolwiek miał na myśli Piłat mówiąc "ecce homo" - faktem jest, że wskazywał bezlitośnie skatowaną istotę ludzką, raczej mało podobną do "ludzi". /Być może szepnął nawet przedtem setnikowi: "pokażcie, co umiecie, może się tym zadowolą"; chciał przecież uwolnić Chrystusa, byle nie za cenę własnej niewygody - stąd i korona cierniowa w "gorliwym" naddatku/. Tak może się prezentować nie tylko fizyczny organizm człowieka, ale niekiedy i jego "interieur", i to nie tylko wtedy, gdy na głowę jakiegoś - dajmy na to - uczonego męża spadnie cegła z dachu. "Purgamentum mundi" to niepiękna rzecz, los nie do pozazdroszczenia - któż pragnie takiej łaski? Ale znajdują się tacy i oni to właśnie ratują zapadający się w swoją nicość świat.

[4] K. W o j t y ł a, "Miłość i odpowiedzialność", Lublin 1982, s. 111, przyp. 36.

[5] "Zmartwychwstanie Chrystusa objawiło "chwałę przyszłego wieku" a jednocześnie potwierdziło "chlubę krzyża": ową chwałę, która zawiera się w samym cierpieniu Chrystusa i która wielokrotnie odzwierciedliła się i odzwierciedla w cierpieniu człowieka jako wyraz jego duchowej wielkości. Trzeba dać świadectwo tej chwały nie tylko męczennikom wiary, ale także wielu innym ludziom, którzy - nieraz bez wiary w Chrystusa - cierpią i oddają życie dla prawdy i słusznej sprawy. W cierpieniach ich wszystkich potwierdza się w sposób szczególny wielka godność człowieka" /J a n P a w e ł II, "Salvifici Doloris" 22/.

PRAISE AND ENDAEMONY

Summary

People strive for endaemony in various ways because it is just in various ways that they conceive the same for all endaemony. They see in it some "life-account" in its optiumum state, or a train of some best satisfying sensations and events. Their ways chosen are both comfortable and bumpy. They build cards-houses of egocentrism along their routs. Undoubtedly, one way that does not lead to nowhere should be stressed here, or rather one should speak of Someone who throughout the ages has made it clear for mankind that He is people's common Route. Nevertheless, human intellect has its own aspirations, and while satisfying these, it aims /also in the field of the knowledge of man/ at a fuller synthesis which, in turn, and by the nature of things, must be preceded by more and more precise and selective differentiation between things which in our every-day language and thinking are treated "en bloc". These endeavours seem to be particularly necessary when the matter in question is what actually is moral in the broadly understood "morality"; what, in fact, makes conscience conscience; which ultimate criterion constitutes a basis of making authentic moral valuation; from which point an ethical reflection made with full responsibility for its consequences should start; what, something that is suitable to do, should suit to; and, finally from which sources praiseworthy deeds draw their praise.

The paper constitutes a recapitulation, and at some points, also a reinterpretational touch-up of radically personalistic answers to the questions above.